

Spis treści

1. A mur stoi dzięki smokowi	2
Helena Traczyk, Szkoła Podstawowa nr 3 w Goleniowie	
2. Błękitna fontanna	5
Patrycja Giec, Szkoła Podstawowa nr 3 w Goleniowie	
3. Goleniowski kamień	7
Hanna Wachowiak, Szkoła Podstawowa nr 4 w Goleniowie	
4. Gollsner	8
Zuzanna Sawicka, Szkoła Podstawowa w Kliniskach Wielkich	
5. Królewskie źródło	10
Mikołaj Milewski, Szkoła Podstawowa nr 3 w Goleniowie	
6. Legenda dla przyszłych pokoleń	13
Liliana Dudzińska, Szkoła Podstawowa w Kliniskach Wielkich	
7. Legenda o bohaterskim bocianie Eryku	16
Eliza Gabrych, Szkoła Podstawowa nr 3 w Goleniowie	
8. Legenda o smoku, co kradł cegielki	18
Adrianna Sobczak, Szkoła Podstawowa nr 3 w Goleniowie	
9. O królowej Inie i mieście niewinnych	20
Szymon Niedzielski, Szkoła Podstawowa w Kliniskach Wielkich	
10. Takie mogłyby być początki Goleniowa... ..	22
Lena Wypchło, Szkoła Podstawowa w Lubczynie	
11. Legenda o Złotym Bibasjaninie	24
Hanna Religa, Szkoła Podstawowa nr 3 w Goleniowie	
12. Wilk ze skrzydłami	26
Zuzanna Werschler, Szkoła Podstawowa nr 3 w Goleniowie	
13. Detektywi znad Iny i tajemnica Białego Spichlerza	27
Uczniowie klasy II b, Szkoła Podstawowa nr 2 w Goleniowie	

A mur stoi dzięki smokowi...

Dawno, dawno temu, w północnej części niziny nadmorskiej, w dorzeczu rzeki Iny, było sobie miasto Golanów. Golanie żyli spokojnie. Zajmowali się produkcją mebli, opakowań do różnych przetworów, a także próbowali wyrabiać wielkie wiatraki, lecz wywozili je za granicę, do pobliskiej Germanii, która leżała za wielką rzeką Odrą. Ponieważ były tu żyzne ziemie, Golanie siali zboże, dużo zboża, tak, aby starczało im na bieżące potrzeby. Tutejsi piekarze wypiekali najlepsze chleby. Powodziło się Golanom, oj powodziło. Zaczęli więc sprzedawać swoje produkty zbożowe do okolicznych miast i wsi. Bogacili się przy tym, a osada rozrastała się coraz bardziej. Wieść o dobrobycie rozniosła się szybko. Zaczęli osiedlać się tu kolejni przybysze z bliższych i dalszych stron.

Nieopodal spichlerza, przy rzece, mieszkały dwie rodziny. W jednej chacie mieszkała Kasia, a w drugiej Jurek. Zнали się od dawna i przyjaźnili. Czas spędzali na zabawach. Śpiewali, spacerowali nad rzeką. Kasia była pogodną dziewczynką. Miała 10 lat i niebieskie oczy. Miała długie rude włosy, splecione przeważnie w warkocze. Ubierała się w kolorowe sukienki i skórzane sandały.

Jurek był rówieśnikiem Kasi. Był od niej wyższy o dwa palce. Na głowie miał gęstą czuprynę, czarną jak smoła. Biegał w krótkich spodniach i koszuli. Butów nie lubił zakładać, więc miał silne, zdrowe stopy. Oboje byli bardzo uczynni, chętnie pomagali w pracy, tak w domu, jak i wszystkim sąsiadom wokoło.

Pewnego dnia do Golanowa przyplęnęło kilka statków z sąsiedniego Szczecina. Pokonały trasę przez jezioro, a potem wzdłuż rzeki. Tak dopłynęły do mostu przy spichlerzu. Kasia i Jurek od razu to zauważyli i pobiegli obejrzeć statki. Przybysze chcieli zakupić zboże i inne rzeczy. Udali się na rynek, by znaleźć interesujące ich towary. Dwójka przyjaciół postanowiła towarzyszyć im w oddali. Byli oczywiście ciekawi nowych gości. Kiedy ci już załatwili swoje sprawy, poszli do gospody się posilić. Dzieci postanowiły przyczać się pod oknem i podsłuchać, o czym mówią. Okazała się rzecz straszna. Przyjezdni knuli, że przyplęną do osady pod osłoną nocy i zagrabią cały zapas golanowskiego zboża, a potem podstępem przejmą te ziemie we władanie.

Dzieci z przerażeniem opowiedziały wszystko rodzicom. W Golanowie zapanował strach. Co z nami będzie? – rozpaczali mieszkańcy. Trzeba coś wymyślić! Wszyscy radzili, co zrobić, by uniknąć nieszczęścia. Ale nie mieli ani broni, ani wojska. Nagle Jurek krzyknął do Kasi:

– Trzeba wybudować wielką zaporę, której nie przejdą źli ludzie!

I opowiedzieli to wszystko tym, którzy radzili, jak się obronić.

Były w Golanowie dwa kościoły. Po obu stronach rzeki po jednym. Plan był taki, aby wybudować wielki mur, od jednego kościoła do drugiego, tak, że nawet jeśli

wrogowie przyplyną, to nie przedostaną się na drugą stronę, więc odpłyną z kwitkiem. Ludność uznała, że pomysł jest dobry. Tylko z czego ten mur zrobić? Najstarszy mieszkaniec, poczciwy Maćko, powiedział, że legenda głosi o wielkich pokładach gliny tuż za osadą koło wioski Helenowo. Ale powiadają, że tam właśnie przed laty zatopiono smoka, który omal nie spalił wioski. Duża ilość gliny, która go pochłonęła, zagasila ogień, którym zionął. Ale to było dawno i nie wiadomo, czy to prawda.

Jurek i Kasia nie dawali za wygraną. Nalegali, żeby pojechać i poszukać gliny, by ulepić wielki mur.

– Co mamy do stracenia? – pytał wódz. – Musimy się bronić.

Postanowiono wysłać wszystkich najsilniejszych i najsprytniejszych, aby sprawdzili, czy jest pod Golanowem glina, bo czas naglił. Przeczesywali metr po metrze, cały obszar.

– Jeeest! – krzyknął Jurek. – Znalazłem!

Rzeczywiście, za niewielkim strumykiem, w grząskim terenie znajdowały się pokłady gliny, piach, żwir, czyli dużo materiałów do budowy wielkiej zapory. Wszyscy w pośpiechu wzięli się za łopaty i taczki i zaczęli zwozić glinę w okolice rzeki. Pozostali wraz z dziećmi lepili cegły i układali jedną na drugiej. Radość trwała krótko. Glina była miękka, a obserwatorzy donosili, że złowrogie statki już wyruszyły ze szczecińskiego portu i płyną do Golanowa. Koniec był bliski. Ale Kasia i Jurek nie dawali za wygraną. Mobilizowali wszystkich bardzo gorliwie, Jurek tych po lewej stronie rzeki, od strony białego kościołka, a Kasia tych po prawej, od strony kościołka czerwonego. Mur rósł szybko, ale nie był zastygnięty. Groziło mu zawalenie. Mieszkańcy z przerażeniem patrzyli, co będzie dalej. Nagle straszliwy krzyk przerwał ciszę.

– Uciekaaaaać!!! Smooook! Bestia! Wyszedł spod ziemi! Biada nam!!

Rzeczywiście. Przy okazji wielkich wykopów odkopano smoka, który kiedyś ugrzązł w tych glinianych terenach. Tylko Jurek i Katarzynka nie stracili zimnej krwi. Skrzyknęli wszystkich przed wielki, ulepiony z gliny mur. Kazali złapać się za ręce i czekać na ich znak. Połowa mieszkańców miała biec z Jurkiem, a połowa z Kasią. Strach ogarnął mieszkańców, bo gdy bestia biegła w ich kierunku, ziemia trzęsła się jeszcze bardziej niż bagna i przestraszeni ludzie. Kiedy smok nabral powietrza, by oddać pierwszą salwę ognia, Jurek krzyknął:

– Teraz!

Mieszkańcy rozbiegli się tak, jak wcześniej postanowili. Grupa Jurka do białego, a grupa Katarzyny do czerwonego kościołka. Kiedy smok zionął ogniem, glina wypaliła się w cegły, mur stał się twardy i gorący. W tym momencie wpłynęły wrogie statki. Kiedy obcy chcieli przekroczyć zapórę, poparzyli ręce i nogi. Zaczęli

w panice uciekać na swe statki. Ale rozwścieczony smok strzelił w ich stronę drugą salwę, paląc je. Część napastników ratowała się skacząc do wody, ale nie wiadomo, czy któryś się uratował.

Smoka też już nikt więcej nie widział. Niektórzy opowiadali potem, że poleciał na południe, w stronę Krakowa. Ale kto to wie? Ten golanowski był do wawelskiego nieco podobny, jednak jakby chudszy, o chropowatej skórze w kolorze rudym. Miał wyłupiaste oczy, długie pazury u pomarszczonych łap, dziwnie małe uszy i nieregularne czarne kropki na ciele. Smoczy nos na czubku wielkiego pyska nie był duży, ale o doskonałym węchu. Rzecz jasna miał też skrzydła podobne do skrzydeł nietoperza. W każdym razie urodą nie grzeszył.

Gdy opadł dym, mieszkańcy wyszli z kościołów. Kiedy się upewnili, że niebezpieczeństwo minęło, powrócili do swych domów i zaczęli przywracać porządek na ulicach.

Stary mur stoi w Goleniowie do dziś. Rozciąga się wzdłuż rzeki naprzeciwko spichlerza. A kościoły, na cześć bohaterskich dzieci, nazwano od ich imion. Ponieważ, jak powiadają, były to święte dzieci, to dziś mamy kościół świętej Katarzyny – ten duży czerwony, i kościół świętego Jerzego – ten mniejszy, biały. Oba stoją do dziś i kto wie, może jeszcze kiedyś, w razie potrzeby, udzielą mieszkańcom pomocy i schronienia...

Błękitna fontanna

To był pochmurny, listopadowy dzień. Chłopak o imieniu Feliks przechadzał się ulicami Goleniowa. Zimny wiatr rozwiewał jego kręcone blond włosy. Nastolatek trzymał w dłoni pustą puszkę po gazowanym napoju. Usiadł na pobliskiej ławce, po czym rzucił puszkę na ziemię.

Siedział tak i rozmyślał. Po pewnym czasie zgłodniał, więc postanowił, że pójdzie coś zjeść do swojej ulubionej kawiarni przy ulicy Szczecińskiej. Była całkiem niedaleko, dlatego też szybko dotarł na miejsce. Zamówił kawałek ciasta i usiadł przy stoliku, czekając na swoje zamówienie. Miał stamtąd widok na fontannę stojącą przed kawiarnią.

Po godzinie Feliks wyszedł z kawiarni, usiadł na ławce i obserwował, jak woda tryska strumieniami. Uspokajający widok, myślał. Nagle usłyszał nieznany mu dźwięk. Wydobywał się z fontanny. Chłopak podszedł bliżej, chcąc się dowiedzieć, co też może wydawać te odgłosy. Wodził wzrokiem po powierzchni wody, ale nie dostrzegł nic niepokojącego. Feliks pomyślał, że coś mu się przesłyszało. Wtedy woda zaczęła tryskać z podwójną mocą, ochlapując jasnoniebieski sweter i czarne spodnie nastolatka. A z wody zaczęło wyłaniać się dziwne stworzenie, jakby nie z tej ziemi. Przerażony chłopak szukał wzrokiem kogokolwiek, kto mógłby go utwierdzić w przekonaniu, że to mu się nie zdaje, i w rezultacie mu pomóc. Lecz w pobliżu nie było żywej duszy. Chciał uciekać, lecz coś mu nie pozwalało. Stał więc w miejscu, w bezruchu. Obserwował istotę, która się do niego zbliżała. Stwór wyglądem przypominał ropuchę, lecz był od niej większy i miał zupełnie inny kolor umaszczenia, bo fioletowo-granatowy. Głowę miał osadzoną bezpośrednio na tułowiu, pysk duży, z jeszcze większymi wargami. Na plecach oraz odnóżach widniały dziesiątki małych białych kropek, w zasadzie były to takie kratery lub przeciwnie, wypryski, niczym krosty. Wielkie, wylupiate, zielone ślepią rozjaśniały przestrzeń, skórę pokrywała dziwna maź. Łapy miał rozczapierzone, wszystkie cztery zakończone koślawymi palcami, z których wyrastały szponiaste paznokcie. Poruszał się wolno i leniwie, ciągnąc za sobą smugę tej dziwnej mazi, którą był oblepiony. Stworzenie wzbudzało wstręt.

Feliks swoimi brązowymi oczyma wpatrywał się w zwierzę z niedowierzaniem. To musi być jakiś dziwny sen, pomyślał. Wtedy, jakby znikąd, przyturlała się do niego pusta puszka, którą niedawno rzucił na ziemię. Zaraz za nią turlała się plastikowa butelka. Wiatr przywiał też kilka zgniecionych chusteczek i różnych papierów. Śmieci przybywało coraz więcej. Feliks spoglądał to na powiększającą się ciągle stertę odpadów, to na stojące naprzeciwko niego zwierzę. Był całkowicie pewny, że to ten stwór stoi za inwazją śmieci. Po kilku minutach sterta skończyła się powiększać. Była całkiem pokaźnych rozmiarów. Dopiero wtedy chłopak uświadomił sobie, że wszystkie te papiery, butelki i puszki należą do niego. Że to on wyrzucał je na chodniki, trawniki, do lasu czy nawet do płynącej przez miasto rzeki Iny. Uświadomił sobie, że to zemsta matki ziemi. Zrozumiał, że źle postępował. Posprzątał stertę śmieci, a od tego zdarzenia zaczął wyrzucać wszystkie odpady do

kosza. Mało tego, nauczył się segregować odpady i stał się orędownikiem dobrych praktyk wśród swoich rówieśników.

Feliks dowiedział się, że nie jest jedyną osobą, która spotkała się ze stworem z goleniowskiej fontanny. Podobno zwierzę objawia się każdemu, kto zanieczyszcza środowisko. Fontannę, w której mieszka stworzenie, nazywają Fontanną Błękitną, ponieważ często wieczorem widać, jak woda przybiera kolor bardzo jasnego błękitu. Ale niech ta piękna barwa fontanny nie zwiedzie tych, którzy nie dbają o środowisko, bo w przeciwnym razie mogą być narażeni na spotkanie z Śmieciową Ropuchą.

Goleniowski kamień

W zakolu rzeki Iny istniała mała osada rybacka. Mieszkał w niej bardzo silny i wysoki olbrzym o imieniu Golin. Pewnego dnia rybacy spostrzegli, że coraz mniej ryb wyławiają z Iny. Nie wiedzieli, dlaczego jest w niej coraz mniej wody. Rzeka zaczęła wysychać. Rybacy nie mogli wykarmić swoich rodzin. Nie mieli pieniędzy, bo nie mogli sprzedawać złowionych przez siebie ryb. Żyło im się coraz gorzej. Z dnia na dzień osada pustoszała. Ludzie wyprowadzili się do innych pobliskich osiedli.

Olbrzym Golin nie mógł znieść myśli, że będzie musiał wyprowadzić się z osady ze swoją rodziną. Postanowił znaleźć przyczynę niedostatku ryb w rzece i tego, że jest w niej coraz mniej wody. Poszedł w górę rzeki w stronę Zabrodzia. Tuż za wioską zobaczył wielki kamień, który zablokował nurt wody. Od razu wiedział, że to on był przyczyną wysychania Iny.

Mieszkańcy Zabrodzia opowiedzieli mu historię złej czarownicy. Czarownica ta pewnego dnia dla zabawy i na złość ludziom postanowiła w magiczny sposób pchnąć olbrzymi kamień z Góry Lotnika wprost na wioskę Zabród. Kamień utkwiał jednak w korycie rzeki i zablokował nurt wody.

Golin był bardzo silny i wyciągnął ogromny kamień z rzeki. Toczył go przez całą noc w kierunku swojego domu. Chciał pokazać nielicznym już mieszkańcom swojej osady, co było przyczyną wysychania rzeki. Golin, choć był bardzo silny, po kilku godzinach przetaczania kamienia zmęczył się. Postanowił zostawić kamień na środku parku. Wrócił do swojej wioski i zobaczył, że jej mieszkańcy nie dowierzają, że rzeka płynie dawnym korytem i niesie ze sobą mnóstwo ryb. Bohater opowiedział im historię o złej czarownicy i kamieniu.

Życie w osadzie odrodziło się na nowo. Ludzie zaczęli wracać do swoich domów. Rozbudowano miejscowość. Z upływem lat z małej wsi powstało miasto Goleniów. A kamień pozostawiony przez olbrzyma po dziś dzień stoi w goleniowskim parku.

Gollsner

Dawno temu, w czasach, gdy nie istniały jeszcze telefony, tablety czy laptopy, w osadzie nad rzeką Iną, w podziemiach spichlerzy mieszkał stary mysz Gollsner. Pochodził on z rodziny myszowatych, średniowiecznych stworów, zamieszkujących bramy murów miejskich. Gollsner obrośnięty był brunatnym futrem, miał bujne wąsy po każdej stronie pyszczka oraz, jak na mysz przystało, okazałych rozmiarów ogon. Stwór był wielkości trzyletniego dziecka, dodatkowo wyróżniał go ogromny brzuch, który był efektem nie tyle jego pazerności, co nieograniczonego dostępu do zbóż przechowywanych w spichlerzach. Brzuch ten był przyczyną wielu problemów Gollsnera, między innymi zmusił go do wygryzienia w ulubionych portkach z szelkami dziury na brzuch czy też wydrażenia sporych rozmiarów wejścia do swojej podspichlerzowej nory. Gollsner był przyjazny dla zwierząt, szczególnie uwielbiał konie, lecz panicznie bał się ludzi. Myszkował w spichlerzach całymi nocami, a niekiedy odważał się wyjść poza nie. Wtedy przysiadł na brzegu Iny i rozmyślał o swoich przodkach oraz o tym, że jest ostatnim przedstawicielem swojego rodu. Z samego rana, gdy tylko pojawiali się ludzie, natychmiast zamykał się w swojej norze. Wiódł spokojne i dostatnie życie. Jednak pewnego dnia wszystko się zmieniło...

Pewnego jesienno-wieczornego w spichlerzu pozostał na noc młodzieniec, który przybył z daleka. Ułożył się wygodnie pod jedną ze ścian i rozmyślał czekając na sen. Tymczasem Gollsner, jak każdego wieczoru, odważnie wyszedł ze swojej nory i zaczął pakować świeże zboże do metalowego wiaderka, które miał zwyczaj zrzucić do swojej nory i podjadać z niego przez cały kolejny dzień. Przyzwyczajony do samotności nie zachowywał się najciszej. Zainteresowany hałasem młody człowiek cichutko zakradł się do Gollsnera, a gdy zobaczył wielką mysz w spodniach z wygryzionym brzuchem, z krzykiem wybiegł ze spichlerza. Wzywając pomocy obudził całą osadę i opowiedział o niezwykłym odkryciu i o stworzeniu, które chciało go zaatakować. Mieszkańcy początkowo nie uwierzyli przybyszowi, jednak widząc jego przerażenie postanowili rzecz sprawdzić. Uzbrojeni osadnicy zaczęli przeszukiwać spichlerze. Zaglądali w każdy kąt, zakamarek i dziurę, aż wreszcie odkryli wielkie wejście do nory Gollsnera. Wiedzieli już, że nie mają do czynienia ze zwykłą myszą. Postanowili zatem złapać niebezpiecznego stwora i usunąć go z okolicy. Po kilku godzinach dotarli do nory stworzenia. Przeszukali ją dokładnie. Byli bardzo zdziwieni, ponieważ odnaleźli tam bardziej ludzkie niż mysie rzeczy. Wśród zbiorów Gollsnera znaleźli biały grosz, rysunek przypominający kościół oraz kamień z murów obronnych. Zdziwieni i przestraszeni doszukiwali się w istnieniu Gollsnera diabelskiej roboty. Żli i żądni krwi rozpoczęli poszukiwania. Niszcząc wszystko, co stało im na drodze, szukali przestraszonego stwora.

Tymczasem Gollsner, korzystając z podspichlerzowej dziury, wy dostał się na zewnątrz i uciekał wzdłuż rzeki Iny. Biegł co sił w łapach. Mijał liczne zakolai rozlewiska rzeki, co chwila siadał skulony za pnem drzewa, odpoczywał i nasłuchiwał. Przestraszony, smutny i załamany nie wiedział, co zrobić dalej. Myśląc, że zgubił pościg, przysiadł w cieniu drzewa i zasnął. Śniła mu się jego rodzina, mama piekąca zbożowe ciasteczka oraz tata czytający mu bajki. Wtem ze snu wyrwało go szczekanie psów i okrzyki ludzi. Został znaleziony... Pościg był bardzo blisko. Agresywne psy były tuż za jego ogonem. Nie mając gdzie się schronić, wskoczył do

rzeki. Popłynął w kierunku Odry i zniknął w odmętach. Od tej chwili słuch po nim zaginął...

Do tej pory nikt nie wie, czy tego dnia mysi stwór zginął. Niektórzy twierdzą, że nie wygrał z siłą rzeki. Inni uważają, że udało mu się przeżyć i do dziś zamieszkuje wśród korzeni drzew najgęstszych i najdalszych obszarów Puszczy Goleniowskiej. Ponoć w mgliste wczesne poranki nieliczni grzybiarze mogą w oddali zobaczyć cień uciekającego przed ludźmi stworka. A wy jak myślicie, które zakończenie jest prawdziwe?

Królewskie źródło

Było to dawno temu, choć niektórzy mówią, że nie tak dawno... Były to czasy, w których statki z towarami często przyplływały i gęsto zajmowały brzeg Iny. Dzięki tej właśnie rzece – Inie – Goleniów wzbogacał się i powiększał, ludzi i dóbr przybywało. Jednym słowem złote to były czasy dla miasta.

Tymczasem w podziemnym królestwie wszystkiego co złe: demonów, szatanów i upadłych aniołów, przed salą strażnika bram piekielnych, Belzebuba, pojawił się jeden z podległych mu złych duchów. Zapukał.

– Właż, bęcwale! – odpowiedział mu donośny i ochryply głos.

Był to jego najgorszy, najokropniejszy Pan. Gdy przerażony podwładny wchodził, usłyszał jeszcze kilka niewybrednych słówek, które nawet strach powtarzać... Uklęknął.

– Przybyłem na twe wezwanie, Panie – głos miał niepewny, trzął się ze strachu.

– Co tak długo? A, mniejsza... – zwierzchnik ze zniecierpliwieniem potrząsnął swoją skołtunioną, diabelską grzywą.

– Czym mogę służyć, Pa...

– Pozwoliłem ci się odezwać?! – przerwał mu i widząc jeszcze większy strach u swego poddanego, uśmiechnął się szyderczo. – Dobrze. Przejdźmy zatem do sedna. Po twojej poprzedniej nieudanej misji poszerzania Iny – tu popatrzył złowieszczo w jego stronę – dostałem reprimendę od samego wspaniałego Lucyfera, Pana nas wszystkich. Chyba wiesz, co to oznacza?

– Nie, proszę...

– Cisza! Tym razem będę wyrozumiały, dam ci jeszcze jedną szansę. Pamiętaj jednak, jeśli znowu sknocisz robotę, będziesz musiał odbyć karę czterokrotnie. Nie przyjmuję sprzeciwu – uśmiechnął się. – Masz dostęp do większości bezmyślnych stworzeń. Wybierz odpowiednie rzeczne stworzenie i wyślij je do Iny, aby już żaden statek nie mógł spławiać żadnych, ale to żadnych, nawet tyciuteńkich towarów. Już widzę te puste kramy, ubożających kupców, słyszę płacz ludzi... Piękny to będzie widok – tu rozmarzył się, uśmiechnął błogo, ale zaraz wrzasnął – a teraz uciekaj czym prędzej! Mam ważniejsze rzeczy na głowie – i znowu uśmiechnął się do swych niecnych myśli.

Sługa wstał i pośpiesznym krokiem wyszedł z sali. Trzął się bez przerwy, zimny pot oblał jego czoło, a w uszach brzmiał mu wciąż głos Pana.

– Że też mnie musiało się to przytrafić – mruknął.

Szybkim krokiem skierował się do piekielnych koszar, by znaleźć odpowiedniego potwora. Po paru minutach znalazł go, idealnego szkodnika do tej roboty. Był to rybi demon, a dokładnie szatan morski. Z wyglądu przypominał ogromnego, grubego szczupaka z szesnastoma wielkimi, ostrymi kolcami w paszczy, a jego skóra cała pokryta była ciemnobrązowymi kolcami jak u ryby rozdymki, potrafił też tak jak ona nadać się i najeżyć. (...)

Następnego dnia, gdy szatan morski pływał już w Inie, dwóch chłopaków z Goleniowa wybrało się na ryby. Nie przeczuwając żadnego niebezpieczeństwa, zarzucili sieci. Po krótkiej chwili sieci zaczęły delikatnie drgać i na powierzchni wody pokazało się kilka pęcherzyków, jak gdyby ktoś strawę zaczął na ogniu warzyć. Weszli po kolana do wody, zajrzeli do sieci, ale była tam tylko zwykła mała rybka. Gdy jednak jeden z chłopaków już prawie wyciągnął sieć, nagle, jakby znikąd, pojawił się szatan morski. Połknął rybę w całości i zabrał chłopaka ze sobą w odmęty Iny. Stało się to tak szybko, że jego towarzysz nawet nie zdążył krzyknąć.

Nikt nie uwierzył w jego opowieść, dopóki któryś z marynarzy po kilku dniach nie opisał dokładnie takiego samego kolczastego stwora, który uderzył w statek, gdy zatrzymał się tuż przy spichlerzu, wskutek czego do wody spadło kilka worków z cennym zbożem. Było jeszcze ze trzech niedowiarków, którzy odsuwali od siebie te nedorzeczne ich zdaniem opowieści, musieli jednak w końcu uwierzyć, gdyż głodny krwi szatan morski wyskoczył z wody i próbował pożreć jednego z flisaków płynącego ze splawianym drewnem. Wyskakujący rybi demon spóźnił się na szczęście o sekundę, mężczyzna odsunął się, a szatan morski, rozpedzony i zły, przeskoczył nad nim i z wielkim pluskiem zanurzył się rzeczne wody, co widziało już wielu mieszkańców Goleniowa.

Na wieść o istnieniu stwora książę Bogusław, który aktualnie znajdował się w Goleniowie i przechodził żałobę po bracie Barnimie, wezwał nadwornego mędrca i kazał mu wymyślić sposób na pozbycie się szkodnika. Mędrzec po nieprzespanych dwóch nocach i ciężkich dwóch dniach został pokonany przez własne zmęczenie i miał dziwny sen. Objawił mu się anioł i rzekł:

– Weź wieśniaków z wiadrami i poprowadź ich daleko wzdłuż Iny w las. Niech tam wybierają z niej wodę, a po tygodniu problem minie.

Jak usłyszał, tak zrobił, bo co innego miał począć? Po dwóch dniach część wody z Iny zniknęła, a wieśniacy dalej pracowali w pocie czoła. Przestali dopiero w wyznaczonym terminie, czyli po siedmiu dniach. Wody w Inie było już tak mało, że potwór nie miał warunków do przeżycia. Najdziwniejsze było jednak to, że szatana morskiego nigdzie nie było. Pewnie znajdował się teraz gdzieś w odmętach Bałtyku, czyhając na kolejne ofiary.

Po kilku latach w miejscu, gdzie wieśniacy wylewali wodę z Iny, odkryto źródło, które nazwano „Królewskim źródłem”, by zwykli mieszkańcy nigdy nie zapomnieli, że to dzięki księciu i jego królewskiej mądrości mogą żyć bez strachu. Niestety w

Inie było już tak mało wody, że nigdy nie popłynęły nią statki. Za to stała się ona bezpieczna dla ryb, kaczek i łabędzi.

Legenda dla przyszłych pokoleń

Było południe. Rzeka Ina płynęła spokojnie i leniwie, jak zwykle. Dzień był w miarę ciepły, jak to zazwyczaj we wrześniu bywa. Pomniki Legend Goleniowskich stały zwyczajnie na swoich miejscach, przy murze. Budynek szkoły podstawowej stał tam gdzie zwykle, pośród szumiących na wietrze kasztanowców. Wydawało się, że tego dnia nie wydarzy się nic niezwykłego. A jednak...

W momencie, gdy zegar kościelny wybijał godzinę dwunastą, z Iny wyszła przedziwna postać. Posiadała płetwiaste stopy i także dłonie, twarz z dużymi oczami i orlim nosem, a zamiast włosów na głowie rosły wodorosty. Uszy długie, spiczaste i sterczące do góry, chude ręce i nogi. Całe ciało zresztą było chude i wysokie... albo długie – jak kto woli. Skóra przypominała ludzką. Istota po wynurzeniu się z wody wyszła na brzeg i zaczęła się rozglądać dokoła. W miarę płetwiastych możliwości podrapała się po głowie. Po chwili, kiedy zdziwienie ulotniło się, podeszła do zabytkowych murów i zastukała w nie. Wreszcie się odezwała.

– A co to u licha jest? Gdzie stary drewniany gród? Gdzie się podziała bezkresna puszcza? – mówiąc głosem dźwięcznym i łagodnym, miała na twarzy wyraz bezgranicznego zdumienia. – Gdzie mój dom? Tamten budynek – spojrzała na szkołę – stoi na moim ukochanym domku. Chyba pójde zapytać, czy można by to zdjąć z mojego domostwa.

Nagle usłyszała dzwonek. Dzieci wracały po lekcjach do domu. Troje z nich podeszło do niej.

– Ojej, a co to? – zapytała ze jedna z uczennic – jakiś nowy pomnik?

– Wygląda jak prawdziwy – pisnęła dziewczynka najmniejsza z całej trójki.

– Zastanawiam się, z jakiej legendy jest ta postać? Przecież tu każdy pomnik przedstawia jakiegoś legendarnego bohatera – rzekł najstarszy chłopiec.

– Co to jest pomnik? – zapytała płetwiasta istota, która dotąd nieruchomo przysłuchiwała się dzieciom.

Dzieci odskoczyły przestraszone.

– Co to jest pomnik? – powtórzył swoje pytanie stwór, a dwójka dzieci opierająca się o barierkę nad rzeką omal do niej z wrażenia nie wpadła.

Jedynie najmniejsza dziewczynka miała odwagę udzielić odpowiedzi:

– Pomnik to dzieło rzeźbiarskie.

Istota pokiwała głową na znak, że rozumie.

– A kim ty jesteś? – zaciekała się druga z dziewczynek. – Jak się nazywasz?

– Nazywam się Ihna, jestem podwodną nimfą i nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak ja. A do tego widzę, że musiałam przespać długi czas, bo teraz nic nie wygląda tak jak kiedyś.

– Twoje imię to niemiecka nazwa rzeki Iny – zauważył chłopiec. (...)

Nimfa wzruszyła ramionami. Widać było, że jest smutna. Próbowwała zrozumieć, jak to się stało, że wchodząc do rzeki, aby się wykapać, znalazła się nagle w zupełnie innych czasach.

– A wy? Jak się nazywacie? – zapytała.

– Ja mam na imię Piotr – najstarszy chłopiec wypiął dumnie pierś.

– A ja jestem Agata – przedstawiła się dziewczynka.

– Moje imię to Maja – zaśmiała się wesoło drobna blondynka.

Ihna popatrzyła na nich zdumiona, wytrzeszczając bursztynowe oczy, po czym wybuchnęła śmiechem.

– Och, co za zabawne imiona! – wydusiła w końcu, z trudem powstrzymując śmiech.

– Nie zauważyłam w moim imieniu niczego dziwnego – powiedziała urażona Agata – to raczej twoje imię jest dziwne i zabawne. – Moje imię – dumnie podniosła podbródek – pochodzi z języka greckiego i oznacza dobrą i szlachetną osobę.

– Przepraszam – wymamrotała skruszona Ihna – w moim świecie...

– I ja przepraszam – Agata oblała się rumieńcem i wyciągnęła rękę na zgodę.

Nimfa rozpromieniła się i mocno chwyciła jej dłoń. Tak mocno, że dziewczynka fiknęła kozła i zderzyła się z kasztanowcem. Po chwili wstała i... zaczęła się śmiać, a za nią inni. Kiedy w końcu przestali, Piotr chwycił się za głowę.

– O nie! Jak późno! Musimy pędzić do domu! A ty, Ihno, czekaj na nas!

Nimfa usiadła pod drzewem, nie wzbudzając zainteresowania ludzi, przechodzących co jakiś czas przez skwerek. Gdy zaczął zapadać zmrok, wstała, podeszła do brzegu rzeki i zapatrzyła się w jej toń. Zaczęła sobie przypominać swoje dawne życie. Mieszkała w malutkim domu z trzciny niedaleko Drewnianego Grodu – tak w myślach nazywała otaczające ją zabudowania. Codziennie dzieci mieszkające w grodzie przychodziły do niej, by porozmawiać i pobawić się. I coś jeszcze... Ihna ze wszystkich sił starała sobie przypomnieć, co jeszcze robiły z nią dzieci... Aha! Małe, długowłose dziewczynki plotły wianki z łąkowych kwiatów i zakładały na jej głowę. Cesały również wymyślne fryzury z jej wodorostowych włosów. To były szczęśliwe czasy. Ihna jeszcze raz spojrzała w wodę, zrozumiała, dlaczego rzeka nazywa się jej imieniem. To pewnie dzieci nazwały ją tak tuż po jej zniknięciu. Westchnęła z żalem. Pomyślała, że gdyby była człowiekiem, jej życie byłoby łatwiejsze, nikt nie patrzyłby na nią jak na dziwoląga. Nimfa przechyliła głowę na

bok, nadal przeglądając się w wodzie jak w lustrze. Wodorosty na głowie były rzadsze niż przed laty. Jej strój – poniszczona lniana bluzka i także spodnie – wyglądał żałośnie. Nie byłoby tak źle, gdyby zadbać o swój wygląd, pomyślała. Może... może poprosi dzieci o zakup nowych ubrań? Sama przecież nie pójdzie do zielarki po płyn na porost wodorostów ani do kupca po pięć łokci materiału na sukienkę. Po pierwsze nie ma czym zapłacić, po drugie nowi ludzie mogliby jej się mocno wystraszyć. Ihna ziewnęła. Nie wiadomo czemu poczuła się bardzo senna. Z pluskiem wskoczyła do Iny i przepłynęła na drugi brzeg, tam znalazła kępę szuwarów, w której się ukryła i szybko usnęła. Obudziło ją wołanie dzieci.

– Hej! Agatko! Piotru! Maju! Siedzę tutaj, na drugim brzegu! – odkrzyknęła.

Zdyszane dzieci podbiegły do brzegu, a ona z pluskiem wskoczyła do wody, przepłynęła rzekę i z ich pomocą wyszła.

– Kupiliśmy ci nowe ubranie – wydyszał Piotr – popatrz!

Ihna wydała z siebie okrzyk zachwytu. Na dnie torby, którą otrzymała od chłopca, leżały dżinsowe spodnie, bielizna, skarpetki i biała bluzka. Wyjęła je z torby i zaczęła bacznie im się przyglądać.

– Mhm, trochę się różnią od mojego dawnego stroju – uśmiechnęła się – ale chyba czas na zmiany. Są wspaniałe! Dziękuję!

Nimfa została z nimi, nie wróciła do rzeki...

Zamieszkała w domu Agaty. Szybko nauczyła się, jak żyć w naszych czasach i wkrótce przestała się wszystkiemu dziwić. W szkole znalazła wielu przyjaciół. Z początku niezbyt dobrze szła jej nauka, bo w edukacji dziewięćset lat to bardzo długa przerwa. Ostatecznie opanowała wszystkie szkolne przedmioty. W końcu dorosła jak inni. Płetwy? Wodorosty? Orli nos? W dzisiejszych czasach nie takie rzeczy widzi się na ulicy. Nad podziw urodziwa i szczęśliwa zadziwia ludzi – nie wyglądem, lecz uśmiechem. I niech tak zostanie...

Legenda o bohaterskim bocianie Eryku

W pełnym zieleni mieście Goleniów mieszkała mała dziewczynka Klara, która miała piękne brązowe włosy, zawsze uczesane w dwa warkocze. Jej oczy były błękitne. Dziewczynka lubiła ubierać się w kolorowe sukienki z falbankami. Pewnego razu Klara postanowiła, że przysiadzie na ławce nad rzeką Iną, by odetchnąć, ponieważ miała daleko do szkoły. Wtedy zobaczyła samotnego bociana, który spadał, jakby nie umiał latać. Klara natychmiast się zerwała i pobiegła w jego stronę. Bocian wpadł w krzaki, a zdyszana dziewczynka zapytała:

- Czy wszystko dobrze? Czy nic ci się nie stało?
- Nie wiem, ale strasznie boli mnie moje skrzydło – odparł bocian.
- Natychmiast trzeba cię zabrać do weterynarza! – zdecydowała Klara.
- Nie możesz, przecież idziesz do szkoły. Ja się tu ukryję i poczekam.

Klara pobiegła do szkoły z myślą: „Zachowam to dla siebie, nikt nie może o tym wiedzieć, bo może mu się stać krzywda. Poza tym nikt nie uwierzy, że spotkałam bociana, który mówi”. Postanowiła wykorzystać lekcję biologii i spytać panią o styl życia bocianów. Na przerwie wypożyczyła książkę o bocianach. Po lekcjach odnalazła rannego ptaka.

- Już jestem! – zawołała. – Przepraszam, że tak długo czekałeś.

– Dziękuję ci za wszystko. Przyleciałem z bardzo daleka. Nazywam się Eryk. A jak ty się nazywasz?

- Na imię mi Klara. Czujesz się lepiej? Muszę cię zabrać do weterynarza.
- Opowiem ci jak to się stało – kontynuował bocian. – Gdy wróciłem z Afryki,

ktos chciał mnie upolować. Strasznie mnie zabolalo. Ale chciałem dolecieć do Goleniowa, ponieważ tutaj mieszkam, na starym spichlerzu, nad rzeką Iną, spójrz tam!

– Ojejku! Zawsze tędy chodzę do szkoły, ale jeszcze nigdy nie widziałam tego gniazda – zdziwiła się Klara.

– Mój kolega, z którym leciałem, powiedział, że jestem kaleką. I właśnie taka jest moja historia. Liczę na to, że szybko wyzdrowieję, by na zimę móc wrócić do Afryki.

Kiedy Eryk i Klara dotarli do kliniki weterynaryjnej, od razu weszli, bez czekania w kolejce, ponieważ wszyscy stwierdzili, że psy i koty mogą ustąpić pierwszeństwa bocianowi. Piękny biały ptak miał czerwone nogi i trochę dziwne upierzenie, bo jego prawe skrzydło zdobila duża czarna gwiazda, a na głowie miał śmieszne trzy sterczące piórka w kolorze chabrowym, które powodowały uśmiech u dzieci czekających ze swoimi zwierzętami.

- Dzień dobry, co ta za piękny bocian? Co mu się stało? – spytał doktor.

– To jest Eryk. Nie wiem, co mu się stało, chyba coś jest nie tak z jego skrzydłem – odparła Klara.

- Połóż go tu, zaraz zrobię mu prześwietlenie skrzydła.

Po kilku minutach, gdy Eryk jeszcze wypoczywał na leżance, doktor zaprosił Klarę do biurka.

- Nastąpiło poważne złamanie skrzydła. Nie będzie mógł latać do wiosny.

- Ojejku! Czyli Eryk nie może wrócić do Afryki?

- Niestety, musi zostać u kogoś w stodole lub domu. Może u ciebie, Klaro?

- Zadbam o niego! Przysięgam, że Eryk będzie czuł się lepiej niż przed

złamaniem skrzydła! – powiedziała z pełnym przekonaniem Klara.

O diagnozie musiała jeszcze powiedzieć Erykowi.

– Co ja pocznę! Gdzie ja zamieszkać? – zapłakał bociek.

– Akurat o to nie musisz się martwić, będziesz spał u mnie w domu.

Klara wzięła Eryka na ręce i szli w kierunku domu. Gdy doszli do domu, stanęli przed drzwiami, wzięli długi uspokajający oddech, dopiero wtedy zapukali.

Otworzyła mama Klary, bardzo zdziwiona widokiem, jaki ujrzała.

– Cześć mamo, przyniosłam bociana, żebyśmy mu mogli pomóc, biedny złamał sobie skrzydło, mam pozwolenie od weterynarza na zatrzymanie go do wiosny – wydeklamowała na jednym wydechu.

– Co? Bocian ma tu zamieszkać? – przeraziła się mama.

– Tak, mamo, proszę, pozwól mu, obiecuję, że się nim dobrze zajmę.

– Dobrze, ale nie będę ci w niczym pomagać.

– Dziękuję, obiecuję, że ani go nie usłyszysz, ani go nie zobaczysz.

Dziewczynka zrobiła w stodole ciepłe posłanie Erykowi. Bocian nie mógł uwierzyć, że mama Klary się zgodziła i że będzie tutaj mieszkał. Wiedział, że będzie musiał się czymś odwdzięczyć Klarze.

Po mroźnej zimie przyszła długo wyczekiwana wiosna, a bocian poczuł się lepiej. W domu Klary pojawił się nowy członek rodziny, czyli braciszek Patryk. Oczywiście w tym małym cudzie widziano sprawczą moc Eryka. Cała rodzina często chodziła na spacerówkę wzdłuż rzeki Iny, a bocian obserwował ich z dachu stodoły, ponieważ czuł się już lepiej i mógł próbować latać. Pewnego dnia braciszek Klary leżał spokojnie w ogrodzie, gdzie Klara się bawiła. Nagle bocian swoim czujnym wzrokiem wypatrzył, że do domu Klary zbliża się stado wilków, które zamieszkują Puszcę Goleniowską. Mały Patryk zapłakał, kiedy wilki pokonały już niskie ogrodzenie domu. Nagle sfrunął Eryk i mimo bólu skrzydła zabrał małego Patryka do swojego gniazda. Klara podniosła krzyk, rodzice przybiegli, wtedy stado wilków czmychnęło do swojej puszczy. Rodzice zrozumieli, w jakim wielkim niebezpieczeństwie był Patryk i kto go uratował. Bocian sfrunął z dachu i oddał Patryka w ręce mamy. Pomoc Eryka została doceniona przez całą rodzinę, a on sam pozostał u Klary na całe lato.

Gdy bocian Eryk wrócił kolejnego roku na swoje goleniowskie gniazdo, nie był już sam. Przyleciał z panią bocianową. Tego lata urodziło im się małe pisklątko. Przyjaźń między bocianią rodziną a rodziną Klary trwała wiele lat. Dorosły już Patryk zawsze opowiadał, że swoje życie zawdzięcza nieustraszonemu bocianowi Erykowi.

Legenda o smoku, co kradł cegielki

Dawno, dawno temu, gdy w innych miastach okradano królów ze skarbów i klejnotów, bogaczy ze złota, a rolników ze zboża, w Goleniowie okradano ludzi z cegiełek. Bywało tak, że ludzie szli spać wieczorem, a rano budzili się bez ścian czy dachów. Nikt nie umiał wytłumaczyć, dlaczego znikają z domów tylko cegły, a nie drogie przedmioty. Szukali złodzieja w całym Goleniowie, a gdy nie mogli znaleźć, zaczęli szukać w okolicznych wsiach. Kiedy nie znaleziono i tam, nie szukano dalej, bo przecież który złodziej w jedną noc zdążyłby przyjechać do Goleniowa, rozebrać dom, a potem te ciężkie cegły wywieźć z powrotem? Kolejne domostwa traciły swoje mury, zabrakło bramy Młyńskiej. Goleniów stał się łatwy do zaatakowania, trzeba było jak najprędzej złapać złoczyńcę i odzyskać cegły na odbudowę.

Rządzący miastem obmyślili plan. Dzisiejszej nocy nikomu nie wolno zasnąć, wszyscy mają nasłuchiwać, skąd idzie złodziej. Zabroniono wyglądania przez okna, bo obawiano się, że jeżeli złodziej zauważy kogoś w oknie, może zrobić mu krzywdę. Kiedy zaszło słońce, a na ulicach wreszcie ucichło, wszyscy nasłuchiwali kroków rabusiów. Ale to nie były kroki, a coś w rodzaju trzepotania skrzydeł! Kiedy uderzały, miasto aż drżało. Później znowu zrobiło się cicho i tylko nieliczni mogli słyszeć cichutkie wyjmowanie cegiełek za cegielką. Nie słyszano jednak odkładania cegieł do wozu, nie można było stwierdzić, gdzie złodziej je odkłada. Zaczynało świtać, znowu było słychać trzepotanie skrzydeł, a dodatkowo kilka głośnych uderzeń. Odłamki sprawiały, że ziemia pod Goleniowem się trzęsła. Kto mógł być tak silny, by w takim szybkim tempie zburzyć mur? Kiedy nastał dzień, zniknął zarówno rabuś, jak i brama.

Po odejściu złodzieja nadszedł czas na ocenę strat. Tym razem skradziona została Brama Szczecińska. Wokół niej nie było muru. Trudno było połączyć fakty. Sprawca nie przyjechał wozem, nie było słychać turkotu kół. Robił straszny hałas, jednak cegielki wyciągał z precyzją. Dlaczego rozwaliał mury, skoro nie zabierał z nich cegieł? Tajemnicze były odgłosy skrzydeł oraz to, jakim cudem w tak krótkim czasie złodziej rozbierał całe wieże. Trzeba było działać. Tej nocy wysłano dwie grupy śmiałków do obrony pozostałych bram: Stargardzkiej i Wolińskiej. Ich zadaniem było dostrzec złodzieja, a potem dać mu nauczkę. Jeśli będzie to możliwe, mieli schwytać złoczyńcę. Tej nocy także nikt z mieszkańców nie spał, nie dlatego, że taki był rozkaz, ale dlatego, że każdy był podekscytowany.

Śmiałkowie pilnujący bram byli gotowi na przybycie sprawcy, jednak kiedy go ujrzeli, nogi im się ugięły. Złodziejem okazał się wielki, brązowy smok o ogromnych zielonych oczach. Jego wzrok był głęboki i przerażający, dlatego strażnicy woleli nie patrzeć w ich głąb. Poza tym nie wiadomo, czy nie zmieni ich w kamień, albo co gorsza w cegielkę. Miał wielkie skrzydła, dlatego kiedy leciał, robił taki hałas. Charakterystyczny był ogon, masywny i długi. Najdziwniejsze w smoku były ręce. Kształtem przypominały dłonie kobiety, palce były długie i szczupłe, zakończone czarnymi paznokciami. To one umożliwiały mu sprawne wyciąganie cegiełek ze ścian. Śmiałkowie nie chcieli ryzykować. Smok mógłby zionąć ogniem i spalić zarówno ich, jak i cały Goleniów. Dlatego obserwowali potwora z ukrycia.

Smok rozbierał bramę Stargardzką, a wyciągnięte cegły chował w skrzydła, które

posiadały od wewnętrznej strony coś w rodzaju kieszeni. Kiedy wyciągnął je wszystkie, miał zamiar odlecieć, jednak cegły były ciężkie, wzbicie się w niebo było dla niego wyzwaniem, dlatego unosząc się w powietrze, nie mógł sprawnie się poruszać. Wielkim ogonem uderzał w mury wokoło. Maczuga na końcu ogona powodowała dodatkowe szkody. Gdy w końcu mógł unieść się nad ziemią, wyskoczyli śmiałkowie. Ostrzegli, że jeżeli ruszy on ostatnią, pozostałą Bramę Wolińską, to odetną mu skrzydła. Smok roześmiał się, jednak nie zionął ogniem. Potem odleciał, skąd przybył.

Mimo przestrogi danej złodziejowi, całe miasto obawiało się, że zniszczy on Goleniów, zionąc ogniem. Smoki są złośliwe. Tym razem nieznane było miejsce rabunku, mogła to być Brama Wolińska, spichlerz, kościół lub ratusz.

Jak przewidziano, nocą smok udał się do ratusza. Rozpoczął rozbiórkę od góry i skrupulatnie chował cegielki do skrzydeł. Pojawili się mieszkańcy, apelując, aby zostawił Goleniów w spokoju. Wtem smok otworzył paszczę, z której wystawało kilka ostrych zębów. Goleniowianie myśleli, że jest to ich koniec, jednak ku ich zdziwieniu potwór nic im nie zrobił. Mimo że bardzo się starał, nie potrafił zionąć ogniem. Upokorzony odleciał, jednak przestrzegł, że jeszcze wróci.

Mijały dni, a smok wciąż nie odwiedził miasta. Każdy doskonale wiedział, że powróci, ale bano się go mniej, gdyż nie mógł spalić Goleniowa. Noc w noc patrol pilnował ważnych obiektów, ale złodziej dopiero miesiąc po wydarzeniach w ratuszu pojawił się nad kościołem św. Katarzyny i usiadł na wieży. Szybko zabrał się do roboty, bo wiedział, że ktoś może go zaraz zaatakować. Jego zgrabne ręce wyjmowały cegielkę za cegielką w ekspresowym tempie, tak że zniknęło już pół wieży, zanim przybyli mieszkańcy. Rozpoczęto atak na smoka, ludzie strzelali z łuków i rzucali kamieniami. Stwór miał ogromny problem, aby odlecieć. Jedynym sposobem było pozbycie się łupu. Kiedy wyrzucał cegły, spadały one na ziemię z ogromnej wysokości, przez co wiele się tłukło. Całe szczęście, że udało się go przepędzić na wieki.

Odbudowanie wieży kościoła okazało się trudnym zadaniem, gdyż cegielki były pobite. Mimo to odbudowano ją, jednak nie tak wysoką i piękną jak pierwotna. Mieszkańcy w końcu zaznali spokoju, ale ucierpiał na tym Goleniów. Istniała już tylko Brama Wolińska i fragmenty murów obronnych. Ratusza nigdy nie odbudowano.

Ludzie zastanawiali się, po co smokowi były cegły. Możliwe, że chciał zbudować z nich własny zamek, ale nikt nie wie, czy udało mu się tego dokonać. Może zamek stoi do dziś, jednak nikt nie pamięta, że zbudował go właśnie smok? Może oddawał cegły dla innego miasta albo wyrzucał je na szczytach gór, aby były jeszcze wyższe? Mieszkańcy Goleniowa nigdy nie poznali prawdy na temat zamiarów smoka ani nie znaleźli odebranych im cegiełek.

O królowej Inie i mieście niewinnych

Około tysiąca lat temu na terenie dzisiejszego Goleniowa żyła pewna wiedźma. Mieszkała ona w sporej chacie na brzegu rzeki. Wiedźma ta miała na imię Ina. Ina miała 46 lat, ponad półtora metra wzrostu i szczupłą sylwetkę. Jej atutem były rude włosy, niebieskie oczy, czerwone usta i zgrabny nos. Ubierała się najczęściej na biało lub fioletowo. Rodzice wiedźmy zginęli kilka lat wcześniej. Zgodnie ze starą tradycją nauczyli córkę wielu przydatnych rzeczy, w tym magii. Prawdziwą magię na świecie znało wtedy niewiele osób. Tylko nieliczne wiedźmy czarowały, poza tym żadna z nich nie uprawiała czarnej magii i nie szkodziła innym.

Marzeniem Iny było utworzenie własnego miasta, sprawiedliwego i tolerancyjnego dla wszystkich mieszkańców. W spełnienie życzenia głęboko wierzyła i codziennie zanosila modlitwy do Boga. Pewnego dnia zauważyła trzech mężczyzn, idących ze smutnym wyrazem twarzy. Ubrani byli w łachmany i wyglądali na biednych. Jako iż cechowała ją gościnność, zaprosiła nieznanym na herbatę. Po zjedzeniu obfitego posiłku jeden z gości, najwyższy, zaczął rozmowę.

– Witaj, dziękujemy Ci za ten poczęstunek. Mam na imię Gol, ten mały to Eni, a ten z mieczem ma na imię Juw – oznajmił chłop.

– Witam was w moich skromnych progach. Mam na imię Ina. Co wy tu robicie? – spytała wiedźma. – Nikt nie odwiedza tych ziem.

– Wiesz, droga pani, jak to jest na tym niesprawiedliwym świecie. Zostaliśmy niesłusznie oskarżeni o kradzież! Udało nam się jednak zbiec przed powieszeniem i szukamy miejsca, w którym moglibyśmy się osiedlić – powiedział zasmucony Juli.

– A u was w mieście często się karze za coś, czego się nie zrobiło, za wygląd lub za poglądy?

– Nawet nie wie pani, jak często! – ubolewał Juw.

– No dobrze, pomogę wam się osiedlić. Ale będziecie przynosić mi informacje o niesłusznych karach, dobrze?

– Oczywiście! – przybysze jednogłośnie się zgodzili.

Od tamtego czasu mężczyźni pod osłoną nocy chodzili do ościennych miast i dowiadywali się o egzekucjach. Wtedy zaczynała działać Ina. Wiedźma potrafiła władać tak dobrze magią, że wchodziła do miasta, przenikała przez ściany murów, więziennych i brała za rękę niewinnych. Po kilku latach wioska rozbudowała się. Kobieta cieszyła się ze swojego sukcesu. Przy swoim domu zbudowała aptekę, którą zasilala swoimi wyrobami, a przed nią fontannę z uzdrawiającą wodą. Miasto rozwijało się. Mieszkańcy prowadzili interesy i stawali się coraz bardziej zamożni. Ina wybudowała spichlerz, w którym często spędzała czas, patrząc na dzieci, które bawiły się w okolicy. Królowa wiedziała, komu powinna być wdzięczna, i chciała, aby mieszkańcy dostrzegali w tym, co się stało, moc Boga. Wybudowała w podziękowaniu wielki kościół.

Sielanka nie trwała jednak długo, inne miasta zaczęły się wyludniać, ludzie z nich uciekali.

Podczas jednego z polowań rycerz z sąsiedniego grodu dostrzegł osadę, której potęga go zadziwiła, jednakże na mapach nie mógł jej zlokalizować. Od razu zaalarmował władcę państwa, który wysłał szpiegów. Król dowiedział się od swoich wywiadowców, że to tam są wszyscy więźniowie i ludzie niesprawiedliwie osadzeni.

Wiedźma czuła niepokój, wiedziała, co się stało. Przewidziała plany króla, więc kazała poddanym wybudować mury i zacząć się zbroić. Lecz dwa tygodnie później król napadł na miasto, mieszkańcy nie mieli szans z dobrze wyszkolonym wojskiem. Obleżenie zajęło cztery dni. Przetrwała tylko jedna z trzech bram, Wolińska, broniona przez Juwa i Gola. Kiedy żołnierze przebili się przez mury, zaczął się mord na mieszkańcach. Po zaledwie kilku godzinach wojowie zniszczyli większą część osady. Znaleźli Inę, którą wzięli za czarownicę i zabili, a potem wrzucili do rzeki. Rzeka stała się złota na wiele miesięcy. Chłopów zabito tak samo jak Inę.

Po wiekach miasto znowu odżyło i odbudowało się. Nazwa miasta wzięła się od imion trzech podróżnych, którzy dawno temu zjawili się u Iny. Imię wiedźmy przetrwało w nazwie rzeki.

Kobieta wędruje nocami wzdłuż brzegów lub w miejscach, które szczególnie zapamiętała. Jest szczęśliwa, bowiem spełniła swoje marzenie.

Takie mogłyby być początki Goleniowa...

Dawno, dawno temu, a nawet bardzo dawno temu, na południu Polski mieszkała biedna góralska rodzina. Utrzymywała się tylko z tego, co urodziło się na małym skrawku kamienistej, gliniastej roli. Ludzi mieszkało w tej okolicy dużo, ziemi mieli mało, a w lasach brakowało zwierzyny.

Głową licznej rodziny był ojciec. Wyróżniał się wysokim wzrostem i szerokimi barkami. Jego mięśnie były mocne i grube, swojej mocy i siły nabrały przy ciężkiej pracy na roli. Nosił długie włosy i brodę, podobnie jak reszta dorosłych mężczyzn. Włosy i broda były ciemne, z prześwitującymi białymi pasemkami, twarz mocno spalona słońcem, zniszczona od wiatru i ciężkiej pracy. Odzienie jego składało się z kubraka i spodni ze skóry. U boku ojciec rodziny nosił drewniany łuk i strzały, broń ta służyła do polowania i obrony przed dziką zwierzyną. Był człowiekiem mądrym i dobrym. Często uśmiechał się i dla każdego miał dobre słowo.

Gdy głód zaczął im dokuczać, rodzina postanowiła wyruszyć na poszukiwanie nowego miejsca zamieszkania, gdzie będzie więcej ziemi nadającej się do uprawy, a w lasach dużo zwierzyny. Żeby wyruszyć w daleką podróż, trzeba było zaopatrzyć się w jakieś obuwie. Nie chcieli wędrować bosy, bo zdarliby sobie skórę na stopach. Nie było wtedy skórzanych butów, jakie są dziś, zrobili je sobie z lipowego łyka. Ruszając w daleki świat, zabrali na drogę kilka placków z razowej mąki, upieczonych na gorących kamieniach, resztę pszenicznego ziarna wysypali i związali w lniane płachty. Z ziarna można było w czasie wędrówki piec placki. Tłukło się je kamieniem na grubą mąkę, mieszało z wodą i rzucało na rozgrzany kamień. Inne pożywienie, takie jak jagody, grzyby, mogli znaleźć w lesie, woda była w rzekach. Przez wiele tygodni wędrowali z południa Polski na zachód. Odwiedzili wiele pustych miejsc, gdzie mogli się osiedlić, ale nigdzie im się nie podobało i nie czuli się bezpiecznie. Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie obecnie jest miasto Goleniów. Byli zachwyceni dużą ilością ziemi, którą można było uprawiać za pomocą takich prostych narzędzi jak motyka z kamienia i drewniany pług. Ziemia była lekka i bez kamieni.

Wystarczyło wyrwać trawę, a gleba była spulchniona i nadawała się do uprawy. Dookoła rozciągała się ogromna puszcza, a w niej bogactwo zwierzyny, leśnych owoców i grzybów, i dużo drewna. Przez środek tej krainy przepływała rzeka. Była ona zupełnie inna niż potoki górskie. Tamte płynęły szybko i głośno, bo woda płynąca z góry obijała się o kamienie. Ta rzeka płynęła leniwie, a woda w niej była tak kryształowa, że w nocy księżyc i gwiazdy falowały na jej tafli, a w dzień błękitne niebo sprawiało, że wydawała się niebieska. Na brzegach bogato porośniętych bujną roślinnością wygrzewały się kaczki i łabędzie. Przybyszom rzeka wydawała się naprawdę inna, dlatego nazwali ją Ina. Wędrowcy z południa w czasie długiej podróży podarli obuwie z lipowego łyka, chodzili więc bosy. Z czasem dołączali do nich inni, ubodzy ludzie, którym to miejsce również się spodobało i chcieli się tu osiedlić. Zaczęto nazywać ich Gołonogami. Wspólnie rozpoczęli budowę osady. Powstały prymitywne domy z belek ciosanych kamiennym toporkiem. Nie było w nich okien ani pieców. Posiłki przygotowywano na ognisku. Były to głównie pieczone mięso i pszenne placki. Zaczęto uprawiać pola i siał zboże. Najczęściej pszenicę. Zboże pięknie rosło i dawało duże plony. Chociaż mieszkańców przybywało, to zboża mieli w nadmiarze. Postanowili je magazynować. I tak powstał

pomysł na zbudowanie spichlerza. Najpierw była to mała, drewniana szopka, w kolejnych latach na jego miejscu powstał ogromny spichlerz, który przetrwał do dziś.

Zboże magazynowane w spichlerzu nie mogło długo leżeć, dlatego mieszkańcy osady nad Iną zastanawiali się, co z nim zrobić. Wpadli na pomysł, aby wymieniać je na inne, potrzebne im produkty. Dlatego zaczęli budować tratwy na rzece, na które ładowali beczki ze zbożem. Robiono je z grubych powalonych drzew, z których wydłubywano środek. Wlot i wylot zatykano ogromnym drewnianym kołkiem. Załadowana tratwa płynęła rzeką aż do morza. Tam odbierali je handlarze, dając za to inne towary. Kiedy wracali do osady, ludzie cieszyli się i śpiewali piosenki. Handlarze dzielili się przywiezionymi dobrami.

Mijały lata, ludzi ciągle przybywało. Osada rozrastała się, aż powstało z niej miasto. Początkowo nazywało się Gołonóg, tak jak nazywali się jego założyciele. Później nazwę zmieniono na Goleniów i tak jest do dziś.

Legenda o Złotym Bibasjaninie

Pewnego ciepłego czerwcowego wieczoru, w pierwszych latach XXI wieku, miło spędzałam czas z koleżankami i kolegami z klasy. W parku przy stadionie zbieraliśmy pokemony. W pewnym momencie niebo nienaturalnie się rozświetliło i zauważyłam wielki statek kosmiczny, lecący w naszą stronę. Byliśmy zdziwieni i zaskoczeni. W pierwszej chwili zaczęliśmy uciekać, ale ciekawość zwyciężyła i z pewnego oddalenia obserwowałam to szalone zdarzenie. W czasie lądowania z rakiety zaczęły uwalniać się iskry, przez które kilkanaście drzew stanęło w płomieniach. Wszyscy moi kompani wystraszyli się i uciekli, a ja poczułam nieodpartą ochotę zobaczenia wszystkiego jeszcze dokładniej. Po chwili drzwi rakiety się otworzyły i wyszło z niej siedmiu przybyszów z kosmosu. Byli średniego wzrostu, wszyscy mieli turkusowy kolor skóry i niewiele granatowych włosów na czubkach głów oraz nienaturalnie duże uszy kształtu liści kapusty. Dziwnie też wyglądały ich ręce: były krótkie, a dłonie miały tylko cztery palce. Oczywiście przykuwały uwagę, bowiem były bardzo duże, przenikliwe i świeciły jak reflektory.

Jeden z przybyszów trzymał w rękach wielkie jajo, białe w różowe kropki. Następny niósł kamień, który położył między drzewami. Zanim doszłam do siebie, kosmici podeszli do mnie (reszta moich przestraszonych znajomych obserwowała to zdarzenie zza drzew) i jeden z nich, chyba herszt grupy, poprosił mnie o rozmowę. Okazało się, że dysponował syntezatorem mowy ziemskiej, a w rozmowie zapewnił mnie o pokojowym celu przybycia. Było nim przeprowadzenie szeregu eksperymentów naukowych, które w konsekwencji pozwolą zachować ciągłość życia na ich planecie. Oczywiście, dla dobra wszystkich, żeby nie wzbudzać niepotrzebnej paniki, cała misja musi pozostać w tajemnicy. Okres potrzebny do zgromadzenia odpowiedniej ilości informacji, dotyczących między innymi kodów genetycznych niektórych zwierząt i roślin, które kosmici planowali przetransportować na swoją planetę BIBAS, to 6 miesięcy. W tym czasie przybysze w pełnym ziemskim kamuflażu (a ten polegał na naciąganiu sztucznej ludzkiej skóry na całe ciało), wcielali się w Goleniowian i będą pełnić szereg zawodowych ról.

Jeden z nich, Bibasjanin zielony, wcielił się w rolę lekarza, który w środowisku uchodził za cudotwórcę z fenomenalnym talentem chirurgicznym. Po przeprowadzonych operacjach kilkunastu mieszkańców Goleniowa wstało z wózków inwalidzkich. Bibasjanin niebieski z kolei, będąc naszym mieszkańcem został mistrzem świata w biegu na 100m. Bibasjanin żółty okazał się być rekordzistą w uprawie marchewek, których wielkość dochodziła do jednego metra. Legenda głosi, że tak naprawdę Bibasjanin żółty, niebieski i zielony to Bibasjanin złoty, ale w trzech osobach. Wszystko to oczywiście dzięki nadprzyrodzonym umiejętnościom naszego bohatera. Wieść gminna niesła, że złoty Bibasjanin miał zdolność teleportacji oraz klonowania. Przy tym nasz przybysz okazał się istotą nad wyraz, po ludzku, dobrą, ponieważ swoje niebywałe talenty zamierzał wykorzystać wyłącznie dla dobra Goleniowian.

Reszta Bibasjan – różowy, czerwony, biały i fioletowy, była pomocnikami i oni

w wielkiej tajemnicy zajmowali się głównie gromadzeniem i analizą zebranych informacji. Jeden z nich przechowywał w mieszkaniu przywiezione z planety BIBAS jajo, z którego po miesiącu wykluł się Bibasjański dinozaur, który potem podczas jednego z potajemnych spacerów w lesie uciekł. Po pewnym czasie grzybiarze znaleźli martwego stwora leżącego w chaszczach przy górze Lotnika. Nikt z mieszkańców do dziś nie wie, co to za stwór i jak się tam znalazł.

Te wszystkie historie dzięki wszechmocy dzisiejszych mediów społecznościowych nie uszły uwadze mieszkańców całej Polski. Na treningi niebieskiego Bibasjanina, nowo koronowanego mistrza świata, do Goleniowa zjeżdżały tłumy sprinterów, również zagranicznych, tym bardziej, że niesamowitym wyczynom towarzyszyło magiczne zjawisko: z każdym kolejnym treningiem bieżnia na miejskim stadionie stawała się coraz bardziej niebieska (tylko wtajemniczeni wiedzieli, że przyczyną był niebieski pot mieszkańca planety BIBAS).

W czasie pobytu Bibasjan w Goleniowie liczba przyjeżdżających turystów zwiększyła się pięciokrotnie. Po pół roku ja i moich dwóch najbliższych kolegów zostaliśmy poinformowani przez Złotego Bibasjanina, że uzyskali już kody genotypów interesujących ich roślin, zwierząt, a ich misja się kończy, co oznacza, że odlatują na swoją planetę.

Po odlocie obcych, z dnia na dzień ze społeczności Goleniowa zniknął lekarz cudotwórca, mistrz świata i rolnik rekordzista. To trudne do uwierzenia, ale przybyszom z planety BIBAS udało się uwiarygodnić informację, w którą uwierzyli mieszkańcy, że cała trójka zginęła w katastrofie lotniczej podczas lotu na wakacje.

Ale czy to wszystko prawda? Może mi ktoś opowiedział te historie, a może mi się to wszystko przyśniło? Ale zaraz... Niebieska bieżnia na stadionie leży, kamień w parku stoi, dinozaur przy ul. Szkolnej 13 groźnie spogląda. Zresztą na cześć tych wszystkich legendarnych wydarzeń władze miasta postanowili pozostawić ślad dla przyszłych pokoleń. Rakieta symbolizująca statek kosmiczny przybyszów na placu zabaw przy Plantach, oświetlenie parku przy stadionie symbolizujące moment lądowania to wymowny przykład przypominania wciąż żywej legendy Złotego Bibasjanina, który w tak pozytywny sposób przyczynił się do życia Goleniowian.

Wilk ze skrzydłami

Bardzo dawno temu, za rzeką Iną, samotna kobieta codziennie rano chodziła do Goleniowa pomagać starszej pani w obowiązkach domowych.

Pewnego ciepłego jesiennego wieczoru, idąc wzdłuż brzegu Iny, kobieta natknęła się na duże ślady łap. Zdziwiła się trochę, lecz zamyślona poszła dalej. Kilka dni później sytuacja powtórzyła się. Wtedy kobieta się zlekła i przestała chodzić tą drogą. Ale pewnego wieczoru zadzwoniła starsza pani, której pomagała, i poprosiła ją, aby szybko do niej przyszła. Kobieta prędko ubrała buty i wyszła z domu. Poszła starą drogą, ponieważ była najkrótsza. Idąc szybkim krokiem, nie zwracała uwagi na niespokojnie płynącą rzekę Inę. A po drugiej stronie rzeki ciemny las. Nagle kobieta zatrzymała się przerażona! Zobaczyła dwie małe iskierki, które zaczęły się do niej zbliżać. Były coraz większe i większe! Aż w końcu ujrzała Wilka... Był on czarny, miał wielkie puszyste skrzydła, ostre pazury, białe jak śnieg kły i łypał lśniąco jak diamenty oczami. Kobietę zamurowało. Wilk poszedł dalej przed siebie i gdy już miał odlatywać, spojrzął na kobietę i cicho warknął. Aż w końcu odleciał i zniknął w ciemnościach. Kobieta już nigdy nie widziała tajemniczego Wilka. Ale wierzy, że jeszcze powróci. Krążą legendy o tym, że dalej lata nad Iną i jeśli go ujrzysz, pozwól ci wsiąść na swój grzbiet i pofrunie razem z tobą.

Detektywi znad Iny i tajemnica Białego Spichlerza

Był to listopadowy poniedziałek. Gabryś wracał ze szkoły późnym popołudniem. Zawsze chętnie zatrzymywał się na moście, żeby poobserwować mieszkające nad Iną kaczkę. Liczył je i zawsze sprawdzał, czy są wszystkie. Martwił się już, jak poradzą sobie zimą, gdy rzeka zacznie zamarzać. Stał tak przez chwilę, a może dłużej... Zmęczył się i usiadł na murku. Nagle zobaczył coś dziwnego w rzece, ale nie przestraszył się. Podszedł bliżej i jeszcze bliżej. Z rzeki wyszedł bóbr i spytał chłopca:

– Cześć, kto ty jesteś?

– Jestem Gabryś – odpowiedział chłopiec. – A ty jak się nazywasz?

– Jestem bóbr Bartek. A ile masz lat? – pytał dalej bóbr.

– Mam osiem lat, a ty, Bartku? – dopytywał Gabryś, który jeszcze nie mógł uwierzyć, że rozmawia z prawdziwym bobrem, o którym słyszał wiele razy od pani w szkole.

– Ja mam też osiem lat, ale moja rodzinka ma siedemset pięćdziesiąt osiem!

– Jak to możliwe? – dopytywał Gabryś bobra Bartka.

Bóbr wdrapał się na brzeg Iny, żeby być bliżej Gabryś, bo chłopiec wydał mu się miły i grzeczny, a do tego Bartek chciał się z kimś zaprzyjaźnić. Jego mokre, gęste futro i wielki ogon lśniły w świetle lampy. A Gabryś otwierał oczy ze zdumienia.

– Dawno, dawno temu przybyła nad Inę – zaczął opowiadać bóbr Bartek – i do dziś mieszka tu sobie, i buduje tamy, moja rodzinka. Te tamy są ogromne. Musisz wiedzieć, że rzeka Ina jest długa i pomieści trzydzieści takich rodzin. A moja wesoła rodzinka mieszka przy tamie za czwartym mostem. Jest nas pięćdziesięciu. Za to za piątym mostem mieszka moja babcia, dziadek i mama babci, czyli prababcia. Mieszkają daleko od miasta, bo nie lubią hałasu. Wiele się tu zmieniło od ich dzieciństwa. Zniknęły dęby i sosny. Tylko wieczorem, gdy miasto zasypia, podpływają, żeby posiedzieć na brzegu Iny, pod Białym Spichlerzem. Najbardziej lubią – ciągnął opowieść bóbr Bartek – opowiadać nam, wnukom, o dawnej, dawnej tajemnicy, którą Biały Spichlerz skrywa do dziś. Gdy babcia była mała, słyszała tę opowieść od swojej babci, a jej babcia od swojej babci.

– To bardzo ciekawe – powiedział Gabryś – ale co tak naprawdę kryje ta tajemnica?

– Pomożesz mi otworzyć drzwi od spichlerza? – zapytał Bartek. – Może się przekonamy, czy w Spichlerzu ukryty jest, jak mówi prababcia, skarb.

– Skarb, to niesamowite! – powiedział zaskoczony Gabryś. – Chodźmy, pomogę ci dostać się bliżej drzwi. Będziemy prawdziwymi detektywami!

I Gabryś pomógł Bartkowi. Znaleźli zacienione miejsce i Bartek zaczął liczyć ogonem długości.

– Siedem ogonów na prawo od drzwi powinna być ukryta wiadomość – powiedział.

Gabryś z uwagą przyglądał się każdej szczelinie w starych murach i belkach Spichlerza. Znalazł rulonik z płótna wciśnięty w otwór i zasłonięty białym kamykiem. Schylił się do Bartka i przeczytał to, co było na zawiniątku:

Jeżeli otworzyć drzwi chcecie, to tylko gdy kody znajdziecie.

*Pierwszy – numer nieistniejącej szkoły, drugi – parafialne kościoły,
trzeciego policzyć nie zdążycie, nim skończy się piosnka o życiu.
Gdy cyfry dobrze dodacie, tylekroć w drzwi zastukacie,
rachmistrza, co w bramę zapuka, Spichlerz chcąc nie chcąc posłucha.*

Gabryś popatrzył na przyjaciela bobra. Bartek posmutniał i powiedział:

– Ale ja na liczeniu tak dobrze się nie znam. Na tamę ścinam, co każe tata.

– Nic się nie martw, Bartku, to zadanie jest łatwe. To 72-100! W Goleniowie nie istnieje szkoła numer 7, są tu dwa kościoły parafialne, a piosenka o życiu to „Sto lat”. Gdy dodamy wszystkie cyfry, otrzymamy dziesięć! Widzisz, jakie to proste? Zastukajmy więc w drzwi dziesięć razy.

I tak zrobili. Uradowany bóbr Bartek dziesięciokrotnie klepnął ogonem ogromne drzwi Spichlerza. Chłopiec i jego przyjaciel już myśleli, że nic z tego nie wyjdzie, gdy po chwili drzwi Spichlerza skrzypnęły, a zardzewiała kłódka puściła zamek. Gabryś z Bartkiem weszli do środka. Trochę się bali, wewnątrz było bardzo ciemno, ale przełamali strach, bo gdzieś czekała tajemnica, a może skarb? Gabryś wyjął z plecaka małą latarkę, którą nosił przy kluczach wraz z odblaskowym breloczkiem. Poświecił po podłodze i ścianach Spichlerza. W jednym rogu stały jeszcze dwie beczki i zetlałe worki ze zbożem, obok leżały wiosła od kogi, którą Gabryś widział w Żółtym Domku, i coś, co było chyba starym żaglem. Na podłodze wśród kamieni leżał jeden biały grosz. „To chyba mają być te skarby”, pomyślał Gabryś, odrobinę rozczarowany. Bartek także ciekawie rozglądał się po ciemnym wnętrzu, bo nigdy ani on, ani jego krewni nie byli w tak niezwykłym miejscu. W drugim końcu pomieszczenia obaj zauważyli jeszcze skrzynię, trochę większą od walizki. Była zamknięta, ale Bartek szybko poradził sobie z jej otworzeniem. Ostrymi zębami wyjął cztery długie gwoździe. Gabryś podniósł wieko i wyjął długi zwój pożółkłego papieru. Zaczął czytać. Choć wyrazy były trochę dziwnie napisane, radził sobie całkiem dobrze, bo w szkole miał szóstki z czytania:

Moi Wnukowie i Synowie Wnuków. Dbajcie o to piękne miejsce położone na polanie, wśród puszczy. Dbajcie o czystość pięknej rzeki, którą płyną łodzie, w której żyją ryby, nad którą mieszka ptactwo i zwierzyzna, której woda daje życie i gasi pragnienie. Do której nocą przyjdzie sarna, jeleń, dzik i wilk, nad którą zapoluje orzeł i nad którą mieszka bóbr. Przekazujcie sobie nawzajem ten cenny skarb. Bo natura bez człowieka może żyć, ale człowiek bez natury już nie. Wasz ojciec i dziadek – Książę Barnim I.

Gabryś już wiedział, jaki skarb odkrył dzięki przyjacielowi i detektywowi znad Iny. Co z tym skarbem zrobił, już sami się domyślić musicie...